Sofia Casanova Lutosławska



Dwór Lutosławskich w Drozdowie, koło Łomży.



Dwór Lutosławskich w Drozdowie, koło Łomży.

Florian Śmieja

Do niedawna niewiele można się było dowiedzieć zarówno w Polsce jak w Hiszpanii o hiszpańskiej pisarce i dziennikarce Sofii Casanova Lutosławskiej (1861-1958), pierwszej żonie Wincentego Lutosławskiego. Sytuacja w obu krajach sprawiła, że milczano na jej temat, a o życiu i twórczości istniały tylko skąpe artykuły i noty. Jej osoba była niewygodna zarówno w post frankistowskiej Hiszpanii, jak też dla Peerelu.

Od kilkunastu lat zaczęły się wreszcie pojawiać rozprawy i monografie poświęcone tej nieprzeciętnej kobiecie, najpierw w Stanach Zjednoczonych dzięki wysiłkom Ofelii Alayato, następnie w Hiszpanii, gdzie oprócz wznowień reportaży Sofii z czasów

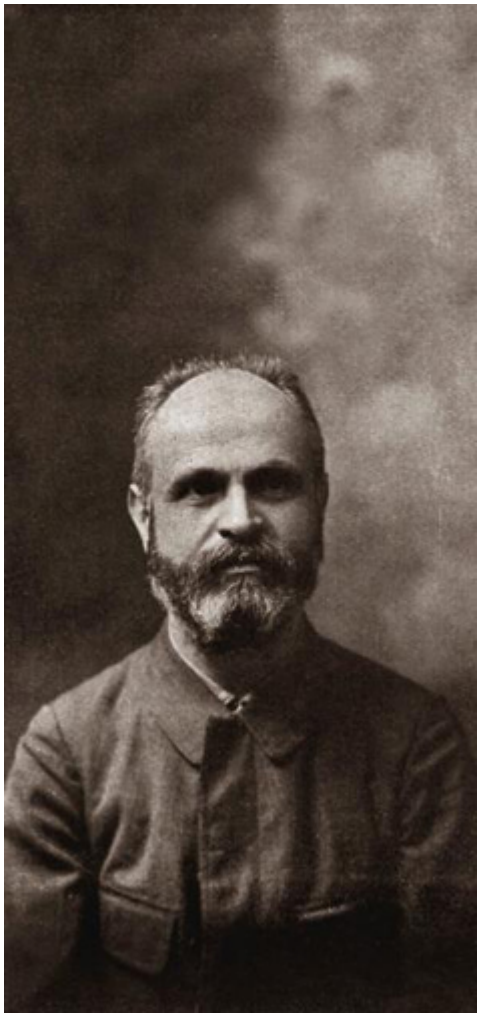
rewolucji bolszewickiej, wydano sążnistą monografię, której egzemplarz podarował mi wiosną 1989 roku w Opolu były minister spraw zagranicznych Hiszpanii, a potem prezydent Autonomicznej Galicji, a więc ziomek pisarki, Fraga Iribarne.

Sofia Casanova wydała trzy zbiorki poezji, kilka powieści i liczne reportaże. Na język hiszpański przełożyła m.in. "Quo vadis?" oraz "Bartka zwycięzcę". Dla madryckiego dziennika "ABC" napisała bez mała osiemset artykułów. Informowała w nich o sprawach Europy Wschodniej, pisała o rewolucji rosyjskiej, była gorącą orędowniczką Polski, swojej przybranej ojczyzny, aczkolwiek niejednokrotnie wytykała jej wady.

Swojego męża, młodego naukowca Wincentego Lutosławskiego, poznała w Madrycie. Była już wtedy obiecującą poetką. Zakochany Polak uczył swoją bogdankę języka polskiego na "Panu Tadeuszu", którą młoda para miała ponoć przeczytać wspólnie dwanaście razy. W romantycznej aurze lektury uroili sobie, że to właśnie z ich małżeństwa narodzi się mąż 44, który przyniesie Polsce wolność. Dlatego z ciężkim sercem przeżywali przyjście na świat pierwszej pociechy, dziewczynki, jak się miało okazać, pierwszej z czterech córek, zamiast oczekiwanego, mitycznego Henryka. Najwyraźniej zawiodła "obca" matka.



Sofia Casanova-Lutosławska



Wincenty Lutosławski

Jej poezją zainteresował się Miciński, zaproszony, obok Przybyszewskich, do hiszpańskiego domu Lutosławskich, niedaleko La Coruña w Galisji oraz Lange. Później, w Krakowie Sofia miała okazję poznać także Kasprowicza, Reymonta i Wyspiańskiego. Bliski stał się Zygmunt Balicki, a szczególnie Roman Dmowski, który został mentorem jej córek. Niespokojny duch Lutosławskiego gnał go po świecie i długie nieobecności oddalały od rodziny. Małżeństwo się rozpadło. Kiedy Lutosławski ożenił się po raz drugi, honorowa Sofia zaczęła podpisywać korespondencję jako “wdowa po Lutosławskim”.

Z Polski jeździła do Hiszpanii i była tam przyjmowana z honorami. W swojej ojczyźnie mogła wieść życie komfortowe jako uznana literatka, osoba publiczna i hołubiona w kręgach rojalistycznych. Ciągnęło ją jednak do Polski, z którą związała swoje losy. W Warszawie pracowała jako wolontariuszka w szpitalu, potem ewakuowana do Rosji w Petersburgu była świadkiem wybuchu rewolucji. Udało jej się zrobić wywiad z Trockim. Po wielu tarapatach zdołała wrócić do Warszawy i do niedalekiego Drozdowa. Jej trzy córki (czwarta zmarła) wyszły za mąż za polskich działaczy niepodległościowych. Przeżywszy okupację niemiecką Sofia przeniosła się pod koniec życia do Poznania, gdzie zmarła.



Sofia Casanova

Odwiedzając dworek Lutosławskich w Drozdowie pod Łomżą kilkanaście lat temu, nie zauważyłem wtedy żadnego śladu po Sofii wśród zachowanych po gospodarzach pamiątek, a zasługuje ona z wszech miar na osobną wystawę manuskryptów, pism i książek. Była nie tylko wieloletnią rezydentką dworku, ale też wytrwałą kobietą czynu, pacyfistką, rzeczniczką polsko-hiszpańskich relacji, skutecznym ambasadorem Polski w Hiszpanii i krajach języka hiszpańskiego, jako że jej artykuły były przedrukowywane przez czołowe pisma Ameryki Południowej..

Dziś w Polsce nastały inne czasy i należy odrobić zaniedbania i pielęgnować wszystkie aspekty kultury hiszpańskiej. Zachowawcza Sofia Casanova i jej ostra krytyka rewolucji sowieckiej oglądanej na własne oczy, znajdą obecnie, tak jak znalazły w Hiszpanii, łaskawsze przyjęcie i zainteresowanych odbiorców. Szczególnie potrzebne wydaje mi się uważne przebadanie okresu krakowskiego Lutosławskich, kiedy to przez ich salon przewinął się cały poczet wybitnych twórców, i określenie znaczenia tych bliskich kontaktów.

Ciężko doświadczona hiszpańska pisarka uwikłana w losy obcego narodu i jednej z jego znakomitych rodzin, czeka teraz na sumiennego polskiego biografa i krytyka, który by nakreślił jej pełną sylwetkę i przypomniał jej przemilczane osiągnięcia i zasługi.

Miłość po szkocku. Prolog.



Warszawa, Plac Zamkowy

Fragment powieści polskiej pisarki z Perth (zachodnia Australia) opartej na historii mieszkającej w Australii Szkotki Mary, która zakochała się w Polsce, dzięki ojczymowi Polakowi. Jej przybrany ojciec, w powieści Jan Rogacki (właściwie Władysław Kolecki),

podczas II wojny światowej pływał na słynnym kontrtorpedowcu ORP „Błyskawica”.

Anna Habryn

Siedziała w taksówce, która wiozła ją do centrum Warszawy, słuchała jak kierowca swoją kulawą angielszczyzną objaśnia jej znaczenie miejsc i budynków, które mijają – i myślała:

Dlaczego czuję takie patriotyczne wzruszenie? Jakbym była w domu, jakbym urodziła się w tym kraju. Przecież łączy mnie z nimi tylko taka cieniutka nić, jeden człowiek… Gdybym Janowi o tym opowiedziała, pewnie by tego też nie zrozumiał.

A przecież tą pielgrzymką do Polski oddawała mu cześć, deklarowała, że stoi po jego stronie, że opowiada się za tym wszystkim, czego on się dobrowolnie wyrzekł. Czuła w sobie na myśl o Janie święty gniew. Zrezygnował z siebie samego, głupio i lekkomyślnie… Tak, jakby zaprzedał swojej Sheili własną duszę w zamian za gwarancję szczęścia i miłości. Tylko, że Sheila nie dotrzymała umowy! I dlatego ona, jej córka, musi Janowi zwrócić część tej zapłaty, to, co da się jeszcze ocalić.

Pojechała na Stare Miasto, zatłoczone tłumem turystów. Chodziła wśród obrazów rozstawionych pod ścianami domów i na środku, w pełnym słońcu, wśród akwarelowych i olejnych pejzaży

i widoków Warszawy sprzedawanych wcale nie za takie grosze. W starej baszcie, w sklepie przypominającym Sezam, oglądała cudnie przejrzyste bursztyny. Wchodziła do mrocznych kościołów pełnych rzeźbionych ołtarzy, i stalli, i chórów, i kazalnic, i organów, a wszędzie trwało ciągłe nabożeństwo.

W jednej z wąskich uliczek brukowanych kocimi łbami usłyszała nikły, wibrujący dźwięk akordeonu. Sama kiedyś próbowała grać na akordeonie. Poczuła ciepło w sercu. Rozejrzała się. Na chodniku pod ścianą siedział chłopiec w łachmanach, cygańskie dziecko, i grał piosenkę, której angielskie słowa dobrze pamiętała:

> Oh, how we danced on the
>
> Night we were wed…

Tę piosenkę grano podczas jej własnego ślubu. Musiała podejść bliżej, jakby pociągana nitką dźwięków. Idąc, powstrzymywała nogi, żeby nie pląsały zbyt wyraźnie w rytm walca, przecież to nie wypada. Jej oczy lśniły jak gwiazdy, kiedy dawała chłopcu wielką garść drobniaków. Odpowiedział uśmiechem równie radosnym, jak jej własny.

Kupiła sześć lalek w ludowych strojach i jeszcze kilka

drobiazgów z kryształu. Drewnianą płaskorzeźbę z godłem Orła Białego – dla Jana. I kilka polskich proporczyków. I wisiorek z bursztynu – to dla siebie. Talerz z namalowaną Syrenką, której polskiego imienia nie znała, ale wiedziała, że to symbol Warszawy i że słowa wyryte na obrzeżu znaczą: *Warszawa zawsze wolna.*

Rozważała przez chwilę pomysł przejechania się dorożką, ale zarzuciła go, bo poczuła się głodna. Nie, dość już polskiej kuchni. Znalazła pizzerię, gdzie podano jej coś znanego i pewnego – i do tego piwo.

Potem znów wyszła w słońce.

Wędrowała wśród tłumu turystów fotografujących wszystko. Wiedziała, że Starówka jest tylko rekonstrukcją, odbudowaną z ruin. Ale w zachowanych gdzieniegdzie fragmentach starych ścian widziała autentyczne dziury po niemieckich kulach. Te kule zabijały tu niegdyś ludzi, zwykłych ludzi. Dobrze, że te znaki zostawiono dla przyszłych pokoleń, aby wiedziały. Czuła, że to miejsce, tak pieczołowicie odbudowane ze szczątków, jest święte. (…)

Zeszła nad Wisłę, w dół po zielonym stoku. Woda płynęła spokojnie. *To byłby piękny obraz, gdyby go namalować, z dołu patrząc na ten most* – pomyślała. Jacyś chłopcy próbowali łowić z

brzegu ryby.

Przypomniały jej się dzieci, które spotkała podczas porannego spaceru koło hotelu. Zapytała je, gdzie jest najbliższy przystanek autobusowy. Chciała po prostu nawiązać rozmowę. Powiedziała, wskazując na siebie:

-Nie polskie, *Scottish*.

Obstąpiła ją cała czwórka. Znały kilka angielskich słówek i prześcigały się w wysiłkach, żeby się z nią porozumieć. Udało im się nawet dać jej do zrozumienia, że przejęły się śmiercią księżnej Diany. Mary bawiła się tą rozmową znakomicie. Powiedziała im, że jest z Australii i nawet spróbowała naśladować kangura! Pękały ze śmiechu. A potem już musiały iść.

-Do widzenia pani – powiedziały. – Szkoła.

Patrzyła za nimi, pewna, że tego dnia będą miały co opowiadać nauczycielce.

A teraz pomyślała obserwując małych urwisów nad rzeką: *Dzieci są nie skażone przeszłością, szczęśliwe i mają wielką, wspaniałą przyszłość przed sobą.*

Siadła na trawie, w cieniu drzewa, wyciągnęła z torebki długopis i nabazgrała na skrawku papieru: *Vistula*…, nie, polskie słowo *Wisła* będzie lepsze:

> *Wisła, Wisła*, daleko płyniesz
>
> Od Krakowa do Bałtyku.
>
> Z warszawskiego mostu w dół
>
> Moje oczy śledzą nurt.
>
> Myślę o twoich synach
>
> Zabitych wiele lat temu.
>
> Walczyli, żeby cię bronić
>
> Wolność dla Polski – krzyczeli
>
> Swoim ostatnim oddechem.
>
> Bracia i siostry
>
> Trzymajcie głowy wysoko

> Polska jest wolna
>
> Polska nigdy nie zginie.

Przyjrzała się temu tekstowi. Tak, to było to. Była z siebie zadowolona.

Kiedy wspinała się z powrotem pod Barbakan, przy schodach wiodących do góry zobaczyła posąg powstańca, żołnierza. Stał na małym, białym cokole, w hełmie, z karabinem. Było w tym widoku coś znajomego. Chwilę trwało, zanim zrozumiała, co to takiego – i struchlała. Rozejrzała się dookoła i ze zgrozą zobaczyła, że to „coś" jest wszędzie: graffiti. Czarną farbą, na starych, poranionych kulami ścianach, na nowych białych domach, na cokołach pomników. Najobrzydliwsze słowa, ozdobnie przybrane w zawijasy, albo brutalnie proste, grube, bez osłonek. Dobrze jej znane.

Starszy pan, z trudem wspinający się po schodach, z laską w ręku, przystanął koło niej, zdyszany. Popatrzył na nią, za jej wzrokiem, na ten pomnik powstańca z ozdobnym *„Fucken"*… a potem powiedział z ironią:

-No cóż, cała młodzież uczy się dziś angielskiego.

Nie zrozumiała jego słów. Potoczył laską dookoła:

–*English* – powiedział.

To było tak, jakby ją uderzył. Chciała wytłumaczyć: ja jestem Szkotką… ale nie powiedziała nic. A on pokiwał głową – i poszedł dalej.

Dalszy ciąg ukaże się w poniedziałek 27 lutego 2017 r.

Boginii tańca.

Bronisława Niżyńska.



Ewa Stachniak, fot. Mark Reynes Roberts

Joanna Sokołowska-Gwizdka: W styczniu w Kanadzie ukazała się Pani najnowsza książka „The Chosen Maiden”. Polska premiera „Bogini tańca” planowana jest na maj tego roku. Co zafascynowało Panią w słynnej tancerce Bronisławie Niżyńskiej, że zajęła się Pani tą postacią?

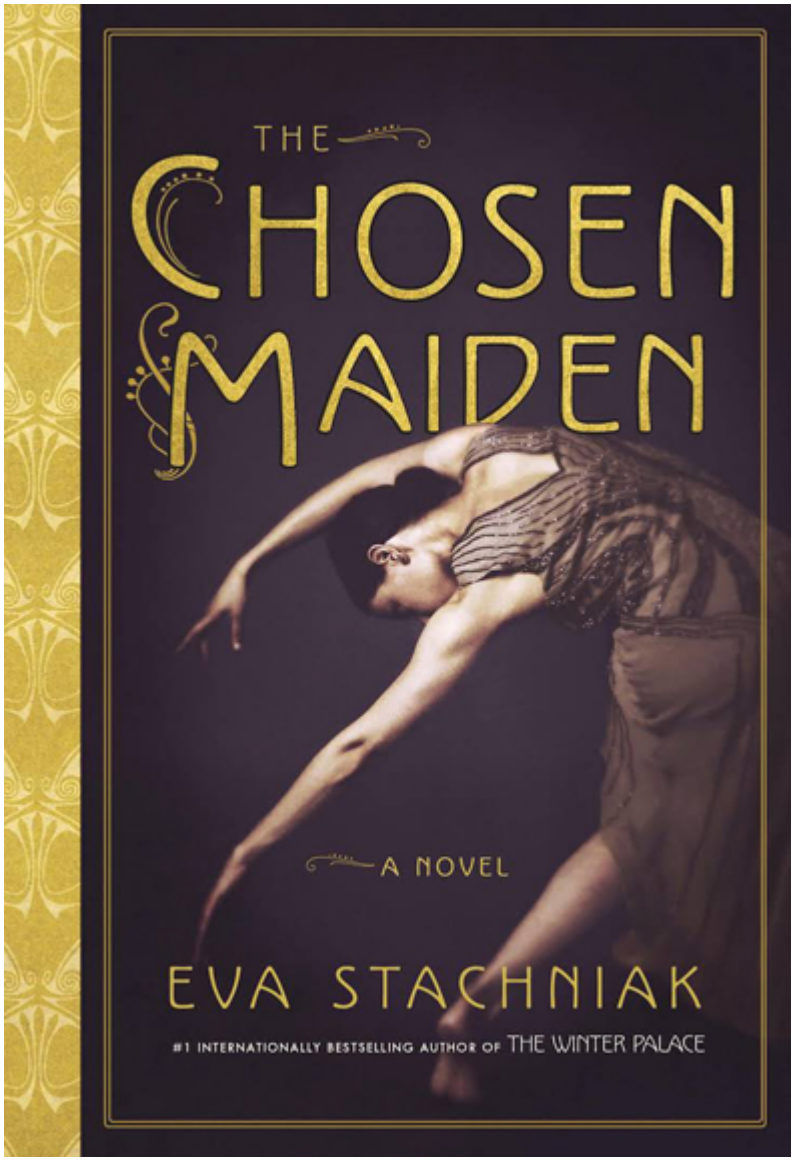
Ewa Stachniak: Przede wszystkim jej niezwykła siła i zaangażowanie w sztukę, której poświęciła życie. W jej pokoleniu kobiet, nie było to aż tak częste, choć Bronisława dojrzewała

wśród światowej sławy baletnic, takich jak Anna Pawłowa, Tamara Karsavina, czy Matylda Krzesińska. Poza tym była córką polskich tancerzy którzy wyjechali do Rosji „za chlebem" i zawsze żyli na granicy kultur. Zafrapowało mnie także, że na całym jej życiu zaważył cień sławy brata. Wacław, Bóg Tańca, jak o nim mówiono, od dziecka uznawany był za wyjątkowy talent. Jego młodsza siostra wiele się od niego nauczyła, ale aby stać się dojrzałą artystką musiała poszukać własnej artystycznej drogi. I to właśnie zrobiła.

JSG: Wacław Niżyński był postacią tragiczną, pogrążony w chorobie psychicznej trzydzieści lat spędził w zakładach zamkniętych. Pod koniec lat 90. ukazał się w Anglii jego „Dziennik", bez skrótów dokonanych wcześniej przez jego żonę, pisany pomiędzy ostatnim występem a rozpoczęciem leczenia. Publikacja ta spowodowała falę zainteresowania Wacławem Niżyńskim, jego geniuszem i tragizmem. Czy zwiększyło się też wtedy zainteresowanie jego siostrą Bronisławą?

ES: Interesowano się nią już dużo wcześniej. *Wspomnienia* Bronisławy Niżyńskiej – skompletowane jeszcze w 1971 roku, ukazały się w 1981 roku, 9 lat po jej śmierci i spotkały się z dużym zainteresowaniem. Świat baletu nigdy o niej nie zapomniał, choć dotychczas nie zdobyła powszechnej popularności. W USA, Lynn Garafola, z Barnard College, pracuje obecnie nad biografią Niżyńskiej, może więc jesteśmy świadkami

zmian?



JSG: Z „Dziennika” Wacława Niżyńskiego wynika, jak dużą rolę w jego życiu odgrywała siostra. Czy słynny tancerz był dla Bronisławy tym samym, czym ona dla niego?

ES: Był dla niej nauczycielem, mentorem, inspiracją, partnerem. Wyrastali razem, mieli bardzo podobne zrozumienie baletu. Byli dla siebie artystyczną inspiracją. Różnica polegała na tym, że

Wacław naznaczony sławą tak wcześnie w swoim życiu i starszy od siostry o prawie dwa lata, przez długi czas ją wyprzedzał. Musiała uwolnić się od jego wpływu, znaleźć własny głos, rozwinąć własne wizje. Udało jej się to dopiero w rewolucyjnej Rosji, w Kijowie, gdzie znalazła się w samym sercu modernistycznej rosyjskiej awangardy.

JSG: Wybrana na ofiarę – to rola w drugiej części „Święta wiosny" Igora Strawińskiego, słynnym balecie, wystawionym przez Balety Rosyjskie Siergieja Diaghileva w 1913 roku, z choreografią Wacława Niżyńskiego. Dziewczyna ginie w tańcu, dzięki czemu przyroda budzi się do życia. Wybraną miała zatańczyć Bronisława Niżyńska, ale ostatecznie rolę tę otrzymała Maria Piltz. Czy tytuł książki „The Chosen Maiden" ma być metaforą życia słynnej tancerki?

ES: To, że nie mogła zatańczyć Wybranej w 1913 roku było dla Bronisławy ciosem. Nie zatańczyła, bo była w ciąży i ta rola mogła kosztować życie jej nienarodzonego dziecka. Szkoda że tak się stało, ale rzeczywiście Wybrana ma w mojej powieści wiele znaczeń. To nie tylko słynna rola czy ofiara złożona budzącej się do życia ziemi. Bronisława została wybrana by stać się pełnoprawną artystką, by rozwinąć swój własny styl, stworzyć balety, które przeszły do historii.

JSG: Bronisława Niżyńska oprócz współpracy z Diaghilevem,

miała własny zespół baletowy w Kijowie, była baletmistrzem i choreografem Polskiego Baletu Reprezentacyjnego, założyła szkołę baletową w Los Angeles, współpracowała z American Ballet Theatre, kierowała też Buffalo Ballet Theater. Czy można powiedzieć, że artystka odniosła światowy sukces?



Bronisława Niżyńska, fot. Gordon Anthony, 1937 r.

ES: Zdecydowanie. Była i jest uznanym choreografem i jedną z pierwszych kobiet, która zdobyła międzynarodowe uznanie. Do tej listy dorzuciłabym jeszcze Teatro Colon w Argentynie, który nigdy nie ukrywał, że to Bronisława Niżyńska stworzyła

podwaliny argentyńskiego baletu.

JSG: Jak układało się jej życie prywatne?

ES: Miała dwóch mężów. Pierwszy, Sasza Koczetowski, zostawił ją z dwójką małych dzieci w Kijowie w 1921 roku. Drugi, Kola Singajewski, który był uczniem Szkoły Ruchu, jak nazywała się kijowska szkoła tańca Bronisławy Niżyńskiej, był jej oddany aż do jego śmierci w 1968 roku. Broni wielką, choć niezrealizowaną, miłością, nie był jednak ani Koczetowski ani Singajewski, a Fiodor Szalapin, wielki rosyjski śpiewak operowy. Przeżyła wiele osobistych tragedii, ale także wiele radości. Miała ciekawe życie.

JSG: Wacław Niżyński mówił, że czuje się Polakiem, mimo, że słabo mówi po polsku. Czy Bronisława Niżyńska też czuła się związana z Polską?

ES: Oboje wychowali się w polskim domu. I Wacław i Bronia zostali ochrzczeni w Warszawie. W 1928 roku kiedy Bronia pracowała w Argentynie, pisała do matki listy po polsku. W 1937 roku, została baletmistrzem w Teatrze Wielkim i choć angaż ten nie zakończył się po jej myśli, jej polski okres był bardzo owocny. Polskość była dla niej sprawą osobistą, rodzinną. Nie afiszowała się z nią, ale też nigdy nie starała się umniejszyćjej znaczenia.

JSG: „The Chosen Maiden”, tak jak inne Pani książki jest

powieścią historyczną. Na ile jest tam faktów, a na ile fikcji?

ES: Bardzo się staram by moje powieści oparte były na historycznych faktach. Pracując nad powieścią korzystałam z archiwalnej kolekcji w Bibliotece Kongresu w Waszyngtonie. *The Bronislava Nijnska Collection* zawiera pokaźną kolekcję notatek, listów, pamiętników i zdjęć – wszystkie te materiały posłużyły mi jako źródła. Poza tym rozmawiałam z tancerzami i choreografami, starając się poznać tajniki ich pracy. Fikcją jest moja tych faktów interpretacja.

JSG: Czy i z tą postacią się Pani „zaprzyjaźniła”?

ES: Bardzo. Stała się moją przewodniczką po świecie współczesnego baletu, nauczyła mnie patrzeć na taniec oczyma choreografa. Przeżywałam z nią jej radości i jej tragedie. Była mi też bliska, gdyż wychowywały mnie kobiety pokroju Broni i jej matki: odważne, naznaczone historią, silne. Moja babcia nie była dokładnie rówieśniczką Broni ale należały do tego samego pokolenia kobiet, które nie mogły sobie pozwolić na słabość bo przetrwanie ich rodzin spoczywało na ich barkach.



Bronisława Niżyńska w balecie „Les biches”, 1924 r., fot. pinterest.

JSG: Do jakich miejsc związanych z Bronisławą Niżyńską dotarła Pani zbierając materiały do książki?

ES: Paryż, Wenecja, Monte Carlo, Nicea, Normandia, Warszawa, wszędzie, gdzie Balety Rosyjskie odnosiły swoje największe sukcesy, gdzie powstawały choreograficzne arcydzieła Wacława i Bronisławy. Odwiedzałam teatry, w których pracowała, sceny na których tańczyła, chodziłam ulicami, przy których mieszkała. Do

Wenecji przyciągnął mnie Diaghilev, na wyspę San Michele, gdzie jest pochowany i na Lido gdzie zatrzymywał się podczas każdego pobytu w Wenecji.

JSG: Książka ukazała się już w Niemczech, będzie też polskie wydanie, Czy są plany dotarcia do innych krajów?

ES: „Bogini tańca” ukaże się we Włoszech, inne plany są jeszcze w trakcie negocjacji.



Ewa Stachniak przy rzeźbie przedstawiającej parę tancerzy – rodzeństwo Wacława i Bronisławę Niżyńskich w balecie „Popołudnie fauna”. Rzeźba stoi w Teatrze Wielkim w

Warszawie.



Pola Negri.

Kopciuszek z ulicy Browarnej.



Pola Negri, 1920 r., fot. theredlist.com

Maciej Kaniewski

– Powróżyć? – stara pomarszczona Cyganka zachęcająco

wyciągnęła rękę.

– A, co mi tam – rezolutnie roześmiała się młoda dziewczynka. – Ale ja mam tylko złotówkę! – ostrzegła.

– Wystarczy! Niech panienka pokaże lewą dłoń.

Długo, z uwagą ciągnęła pomarszczonym palcem po liniach papilarnych.

– Czeka cię wielka przyszłość – powiedziała. – Będziesz miała bogactwo i cały świat u swoich stóp. Otoczona będziesz tłumem wielbicieli i fałszywych przyjaciół. Mężczyźni będą za tobą szaleć. Raz tylko zaznasz prawdziwego szczęścia, ale ucieknie od ciebie tak niespodziewanie jak się pojawiło.

Tak pisała po latach Pola Negri w swych pamiętnikach.

Zadziwiające są losy tej kobiety. Jest żywym synonimem starego przysłowia: „W życiu wszystko zdarzyć się może”. Gdy przebiega się w myślach jej biografię, trudno jest nie dojść do wniosku, że o nic nigdy się nie starała. Wszystko co zaszło w jej życiu było zbiegiem okoliczności, ślepego trafu, przypadku, spotkania właściwych ludzi, we właściwym czasie na właściwym miejscu. To, na co inni harują całe życie – jej „spadało z nieba”, to o czym inni marzą w bezsenne noce – było jej „naturalnym udziałem”. To

co inni wypracowują latami – było jej zagwarantowanym przez los podarunkiem. Można by do niej przypasować jeszcze jedno staropolskie przysłowie: „W czepku urodzona”. Czy tak naprawdę?

Apolonia Barbara Chałupiec urodziła się w 1897 roku w Lipnie pod Włocławkiem. Po aresztowaniu ojca przez carską Ochranę przeniosły się wraz z matką do Warszawy. Pola miała 5 lat. Zamieszkały w maleńkim, cuchnącym pokoiku na poddaszu domu przy ulicy Browarnej.

– Byłam młodziutkim łabędziem przedzierającym się przez przepaść życia, ale gdy się ciągle żyje nad brzegiem przepaści przestaje się ją dostrzegać – pisała o tym okresie Pola Negri w swej autobiografii „Wspomnienia Gwiazdy”. Matka z trudnością znalazła pracę służącej. Biedowały. Z „brzydkiego kaczątka” wraz z wiekiem wyłaniać się zaczął obdarzony wrodzoną gracją ruchów i wdzięku – łabędź.

Któregoś dnia Pola przeprowadzała swe codzienne ćwiczenia gimnastyczne na trzepaku dywanowym. Traf (to słowo będziemy często w życiu Poli spotykać) chciał, że przechodziło tamtędy małżeństwo Kosińskich, właścicieli szkoły baletowej. Obojga zachwycił wdzięk i sposób poruszania się Poli. Dostrzegli talent. Nie domagali się czesnego. Pola trafiła do szkoły baletowej. Pierwszą rolę tańczyła w „Jeziorze Łabędzim”. Miała 13 lat. W

pierwszym rzędzie siedział Dyrektor Teatru Wielkiego Kazimierz Hulewicz. Staremu sybarycie skromniutkie łabędziątko natychmiast „wpadło w oko”. – Zrobię z ciebie gwiazdę, masz talent i indywidualność – powiedział bez ceregieli.

Z poddasza na Browarnej Hulewicz przeniósł swego łabędzia do miłego czystego mieszkania przy ulicy Bednarskiej. W krótkim czasie prasa warszawska zawrzała plotkami o miłości starego lubieżnika do 13 letniej baletnicy. Plotki nie były pozbawione podstaw. Stara jak świat prawda powiada: „coś zawsze za coś”. Hulewicz bardzo troszczył się o swego „łabędzia”. Kiedy Pola zapadła na gruźlicę zapewnił jej najlepszych lekarzy i sanatoria. Gruźlica przekreśliła karierę baletową. Lekarze kategorycznie zabronili tańca. Pozostał teatr. Pola była zbyt młoda by ją przyjęto w poczet adeptów. Czy dla Dyrektora Teatru Wielkiego jest coś „nie do załatwienia” w dziedzinie teatralnej? Pola wstąpiła do Szkoły Aplikacyjnej przy Warszawskich Teatrach Rządowych. Tu kończyła się protekcja. Tu trzeba było nadrabiać doświadczenie o 4 lata starszych koleżanek.



Pola Negri, fot. kobiecosc.info

– To był demon pracowitości – wspominała po latach aktorka Seweryna Broniszówna. – W jeden rok przerobiła trzyletni kurs. Było w niej coś, co nas wszystkich wzruszało. Ów niekłamany zapał z jakim oddawała się pracy i pewna szczerość losów granych przez nią postaci scenicznych, które jakby dotykały ją osobiście.

1 września 1912 roku Pola mając zaledwie 15 lat zadebiutowała w roli Anieli w „Ślubach Panieńskich”.

– Była wiotka jak trzcina wiosenna, w bladej twarzy paliły się wielkie ciemnoniebieskie oczy – wspominał producent Stefan Krzywoszewski.

– Zwinność ruchów i świeżość młodego gibkiego ciała miały w sobie coś kociego, niesamowitego, wręcz diabolicznego – pisał reżyser Ryszard Ordyński.

– Jest ładna, ale nie ma dykcji i chrapliwy głos – przyganiali krytycy.

W tym czasie rodziła się wielka „przełomowa epoka" – FILM!

Dla Hulewicza to był „drobiazg". Pola zadebiutowała na srebrnym ekranie jako „Niewolnica zmysłów" 25 grudnia 1914 roku. Podobno sama napisała scenariusz, sama sfinansowała realizację. Dociekliwi badacze dopatrzyli się „magicznej pałeczki" Hulewicza. Po „Niewolnicy" nagrała kilka dramatów o powielanej bez przerwy fabule: kobiety – wampa, lubującej się w sadystycznym „niszczeniu mężczyzn".

Trwała I Wojna Światowa. Hulewicz został ambasadorem w Rzymie. – Skończyła się protekcja – radował się tłumek „życzliwych". – Tylko głupiec przy Chałupiec – dodawano drwiąco. Pola zaczęła występować w modnych wówczas „Żywych obrazach". Jeden z nich stał się kamieniem węgielnym jej fenomenalnej kariery. W „Kurierze Warszawskim" w kwietniu (?) 1915 roku ukazało się ogłoszenie: „Dla najnowszej kreacji w obrazie <Gwiazda Betlejemska>, Pola Negri potrzebuje 2 żywych węży. Kto takowe posiada zechce zawiadomić pod

adresem Senatorska 6”.

Już sama idea takiego ogłoszenia jest arcydziełem super-marketingu. Wyniki przeszły wszelkie oczekiwania. Sala była wyprzedana na parę tygodni naprzód. Pola „rosła w cenę”. O Polę zaczęto staczać bitwy. Nazwisko Negri zapewniało pełną widownię. Natychmiast „przypomniał” sobie o jej istnieniu świat filmowy. Zagrała w 8 filmach.

– To była absolutna ironia losu – pisała Pola. – Ja, która nie zabiłabym muchy grałam role demonicznych kobiet, o perwersyjnych charakterach, będących synonimem zła i grzechu.



Pola Negri, 1920 r., fot. theredlist.com

Partnerami Poli było wielu wybitnych polskich aktorów w tym: Józef Węgrzyn, Junosza Stępowski i Władysław Grabski. Polę zauważyła również alfa i omega światowego filmu, wytwórnia

niemiecka UFA. (Hollywood nie był jeszcze Hollywoodem). UFA podpisała z Polą stały kontrakt. (To też był swego rodzaju ewenement, na ogół kontrakty podpisywano „od filmu do filmu". Partnerami Poli byli najwybitniejsi aktorzy niemieccy. Okazyjnie grywała w prestiżowym „Deutsches Theather". Kosmopolityczny Berlin mimo wojny tętnił życiem wbrew wielkiej polityce i upadku cesarstwa. Szokowała berlińczyków przechadzając się po Unter den Linden z lampartem uwiązanym na smyczy. Szybko stała się gwiazdą europejskiego formatu. Wojna zakończyła się hańbiącym Niemcy traktatem wersalskim. W Niemczech wrzało. Zapowiadała się rewolucja. Szalała inflacja. Pola miała zmysł ekonomiczny. Skupowała rodowe klejnoty Hohenzollernów. Wielki świat aktorski ubóstwa nie odczuwał. – Szampan był naszym napojem, śmiech naszą filozofią – pisała po latach.

Mniej więcej w tym czasie wydarzył się incydent, który omal tragicznie nie zakończył jej kariery. Kiedy po raz piętnasty odrzuciła oświadczyny oszalałego z miłości fabrykanta Willy Seiferta, ten po kryjomu wślizgnął się nocą do jej pałacyku w dzielnicy Tiergarten. Kiedy Pola wyszła w koszuli nocnej z łazienki amant ponowił propozycję. Rozwścieczona Negri kazała mu się natychmiast wynosić. Seifert wyciągnął rewolwer i dwukrotnie strzelił. „Boskim"' instynktem Pola padła za otomanę. To uratowało jej życie. Seiferta rodzina przemocą umieściła „na kuracji w Baden-Baden".

W Niemczech nagrała 23 filmy. Każda wielka gwiazda filmowa lub sceniczna ma rolę, która ją unieśmiertelnia w oczach wielbicieli. Dla Poli była to „Madame du Barry", film nakręcony w 1919 roku, który krytyka uznała za przełom w sztuce filmowej. W 1920 roku „Madame du Barry" przyniosła w Europie większe zyski niż wszystkie inne filmy razem wzięte. W tym czasie Hollywood rozpoczął trwającą do dziś blokadę filmów zagranicznych. „Madame du Barry" wbrew sprzeciwom magnatów z Hollywood wpuszczono na ekrany. W Nowym Jorku w ciągu tygodnia, film obejrzało 100 tys. widzów. Padł rekord „kasowy" – 10 tys. dolarów dziennie. Policja musiała interweniować pod kinami.

– Co ci się najbardziej podobało w Europie? – zapytano powracającego z podróży Chaplina. – Pola Negri – odparł bez namysłu król komików.

W 1920 roku Pola odwiedziła Polskę. Przypadkowo znalazła się na peronie dworca kolejowego w Sosnowcu. Następny pociąg do Berlina odchodził za 2 godziny.

– Czy mogę pani w czymś dopomóc? – zapytał młody porucznik, Eugeniusz hrabia Dąbski. Spędzili razem 2 godziny. Porucznik oświadczył się listownie. Oświadczyny zostały entuzjastycznie przyjęte. Zamieszkali razem w Sosnowcu. To nie był świat Poli. Po pół roku rozstali się w zgodzie.

W Niemczech panował polityczny chaos. Słaba Republika Weimarska nie zapowiadała zmian na lepsze. Pola wyjechała do Nowego Jorku. 23 stycznia 1923 roku na redzie witał ją rozentuzjazmowany tłum wielbicieli. Orkiestra grała Mazurka Dąbrowskiego. Limuzynę Poli eskortowała kawalkada policyjna na syrenach. Prasa amerykańska popadła w histerię. Pisano, że Miss Negri wychowała się pośród syberyjskich niedźwiedzi, że tańczyła nago przed carem, jej matka była zubożałą księżną, a ojciec cygańskim skrzypkiem.

W Chicago Pola złożyła wieniec pod pomnikiem Kościuszki. W mowie powitalnej w Domu Polskim powiedziała wprost: „Nie przybyłam tu dla majątku. Nie szukam chwały. Pragnę choćby skromną cegiełką przyłożyć się do sławy naszej odrodzonej, ukochanej Ojczyzny". Polonia okrzyknęła ją „drugą Modrzejewską". W Hollywood Pola pojawiła się w czasie, gdy wytwórnie filmowe stworzyły „maszynkę do filmowania" – co tydzień nowy film. Pola odbiegała od stereotypów „bananowych" gwiazd filmowych typu Gloria Swanson. Nie była „cukierkowa", gładko uczesana, udająca zalotnego kociaka z upozowanym scenicznym uśmiechem na przesadnie uszminkowanych wargach. Była naturalna – to zafascynowało widzów. Tego z kolei nie mogła znieść Gloria Swanson, „królowa" Paramountu, specjalizująca się w rolach kobiet zaborczych i wszechwładnych.

Rozpoczęła się słynna „kocia wojna". Pola była zabobonna,

chronicznie nie znosiła kotów. Swanson miała całą „kociarnię". Jej garderobiane czekały na Polę z kotami ukrytymi w koszykach. W odpowiednim momencie wypuszczały koty pod nogi aktorki. Zabobonna Pola z krzykiem, natychmiast uciekała do domu. Szefowie Paramountu pękali ze śmiechu. Do czasu. Wojnę zakończono na rozkaz. Przeszkadzała w produkcji.

W latach 1923-28 Pola zarobiła 6 milionów dolarów, kolosalny majątek w tamtych czasach. W historię Hollywood Pola wpisała się filmem „Zakazany Raj" – ukazującym losy Katarzyny Wielkiej. To uderzyło w strunę amerykańskich sufrażystek. Krytyka uznała „Zakazany Raj" za czołowy film 1925 roku.



Pola Negri i Charlie Chaplin 1922 r., fot. chaplinfortheages.tumbir.com

W 1923 roku Pola miała wypadek samochodowy. Zderzyła się z limuzyną Chaplina. Jeszcze tej samej nocy Chaplin wysłał pod jej dom orkiestrę Hawajską. Błyskawicznie stali się najsławniejszą parą Ameryki. „Król komików” nie miał łatwego charakteru. Był

potwornie zazdrosny, robił brutalne, chamskie wręcz awantury. Potrafił ją nazwać dziwką portową, a w następnej chwili błagać o małżeństwo.

– Chaplin miał usposobienie niezwykle depresyjne. Zamykał się całymi dniami w pokoju i wpatrywał się w swoje buty – wspominała Pola. – Wiele pisano o naszym związku, najgorsze jest to, że większość pisał sam Chaplin, bardzo często mijając się z prawdą. Żył w świecie własnej fantazji. To nie mogło trwać długo. Po krótkim czasie miałam go po dziurki w nosie.

Mimo, że w swej mowie w Domu Polskim Pola oświadczyła, że „nie pragnie majątku" – bardzo szybko złapała „amerykańskiego bakcyla", który wraz z miłością do mamony niesie również snobizm. Kupiła pałac w Normandii. W jej garderobie wisiało 30 futer, sto sukien, tyleż strojów wieczorowych, niezliczone pary butów i przeróżnych akcesoriów. Jej „gotowalnia" przypominała świetnie zaopatrzony sklep kosmetyczny.

– Legenda zobowiązuje – mawiała Pola – kobieta nie powinna ukrywać swej piękności do tego stopnia żeby utracić ludzki wygląd.

Do tego „wyglądu" pomagać jej miały 4 limuzyny zaparkowane w garażu i 30 osób służby plus pięć sekretarek. Howard Greer dziennikarz z pisma „Town&Country" towarzyszył jej kiedyś w

podróży do Londynu. W hotelu „Claridge” wynajęła całe skrzydło. – Szła korytarzem – wspomina Greer – za nią ja, jej pokojówka, sekretarka, czterech ochroniarzy i 7 pikolaków z walizami. – Potrzebuję jeszcze więcej pokoi na kwiaty – powiedziała managerowi. Trzeba opróżnić sąsiedni apartament. Powiedzcie lokatorom KTO przyjechał. Niech się wynoszą.

Zaczęła zrażać sobie publiczność. Dziwna to była osobowość. Całkowicie odbiegająca od rozwiązłego świata Hollywood. Prowadziła się przyzwoicie. Lubiła swój dom. Grała Chopina. Śpiewała pieśni Moniuszki. Nie chodziła na bale, rauty, przyjęcia.

– Mówią, że zadzierasz nosa – przestrzegł ją jeden z przyjaciół. – Uważaj. Wypadniesz z gry!



Pola Negri i Rudolf Valentino, fot. goldensilents.com

Przyjęła zaproszenie na jeden z niezliczonych bali maskowych. Brylował tam Rudolf Valentino – idol i bożyszcze kobiet. – Może

udamy zakochanych? – zaproponował. I zakochali się na umór.

– Nasza miłość zrodziła się w piękną noc balową, przy dźwiękach leniwie zmysłowego tanga i smutnie uśmiechniętego bluesa – wspominała Pola po latach. – On nie dla ciebie – przestrzegali ją przyjaciele, matka, koledzy. – To zwykły, cwany, wyrafinowany babiarz. Będzie cię zdradzał przy każdej możliwości.

– „Eta nastajaszczaja swołocz" – wolał Fiodor Szalapin. – „Ubiju kak sobaku"!

Miłość jest ślepa i głucha. Pola przeżywała ją po raz pierwszy. Łapczywie, gwałtownie, aż do bólu, jakby chciała nadrobić stracony czas. Dostrzegała wady swego ukochanego i „nie chciała ich widzieć".

– Posiadał umysł wyrafinowanego Włocha – pisała o nim. – Głęboki smutek w jego oczach przemawia raczej do uczuć macierzyńskich niż zmysłowych. – Rudolfo naturalnie zdradzał ją na prawo i lewo. Pola cierpiała. Starała się o tym nie myśleć. 23 sierpnia 1926 roku powiadomiono ją telefonicznie o śmierci ukochanego. Zemdlała. Nigdy się z tego ciosu nie podniosła.

W Ameryce rozpętał się szał żałoby. Kilkanaście fanek popełniło samobójstwo. Zawiązało się „Towarzystwo Wdów po Valentino". Setki tysięcy przywdziało żałobę. Kościół otaczał poczwórny

kordon policji. Szalejący tłum siłą próbował wedrzeć się do środka. Przy trumnie Pola dostała ataku histerycznego.

– Coś się we mnie wtedy wypaliło – pisała. – Żyłam obok życia.

W rok później poznała księcia Sergiusza Mdivani. Wyszła za niego za mąż. Miała trzydzieści lat. Frekwencja na jej filmach zaczęła spadać. Zaczęto poważnie podważać ideę jej miłości do Rudolfa.

– Taka miłość nie może kończyć się małżeństwem z kimś innym. I to po roku – mówiono

Ameryka chciała mieć „wdowę po Valentino", tymczasem „główna wdowa" była już mężatką. Ameryka nigdy jej tego nie wybaczyła.

Pola nade wszystko pragnęła macierzyństwa. W 1928 roku przeniosła się wraz z mężem do Normandii. Była w piątym miesiącu ciąży. Poroniła w czasie przechadzki w parku. Książę Sergiusz okazał się egoistycznym utracjuszem, przepuszczającym milionowy majątek Poli. Pola, którą Francuzi określali „La femme de tete" (kobieta z głową) – bardzo szybko położyła temu kres. Skończyło się szybkim rozwodem. W kronikach towarzyskich pojawiły się dwie sprzeczne informacje: jedna, że „pan Negri" (tak uszczypliwie tytułowano księcia pana)

– kategorycznie zabronił żonie powrotu na ekran, druga, że Pola wraca na scenę bo myśli o filmie dźwiękowym.

A sytuacja Poli nie przedstawiała się różowo. Nie miała po co wracać do Hollywood. Na „wdowę po Rudolfie” nie czekały żadne kontrakty. Krach na giełdzie dobił Polę finansowo. W okna zastukało ubóstwo. I wtedy na pomoc Poli Negri ruszyła III Rzesza. Właśnie opuściła Niemcy Marlena Dietrich. UFA na gwałt potrzebowała nowej gwiazdy. Hitler uwielbiał Polę jeszcze z czasów przedkanclerskich.



Pola Negri w filmie „A Woman of the World” (1925 r.), fot. goldensilents.com

Pola podpisała bajeczny kontrakt. W latach 1935-1938 nagrała 7 filmów. Naturalnie nie obyło się bez zgrzytów. Było tajemnicą Poliszynela, że każda ładna aktorka musiała przejść przez łóżko ministra propagandy. Dr Goebbels był bardzo wybredny. Pola ze wstrętem odrzuciła „dusery” kulawego amanta. Amant był mściwy. Oświadczył, że Pola jest Żydówką. To oznaczało koniec kariery. Hitler dostał ataku wściekłości. Minister, który bał się swego Wodza jak ognia zainterweniował „zum Befehl”! W berlińskich gazetach opublikowano oficjalny komunikat Kancelarii Rzeszy: „Pola Negri może oficjalnie występować w Niemczech. Dochodzenie wykazało, że jest Aryjką-Polką”. W 1935 roku Pola nagrała film „Mazurek” opowiadający o poświeceniu matki dla dziecka. Po raz pierwszy i ostatni wystąpiła jako platynowa blondynka – Aryjka. Był to najbardziej dochodowy film w historii III Rzeszy. Führer był oczarowany. Nocami słuchał Wagnera, o 3 nad ranem oglądał filmy. Przez cały rok 1935 dwa razy w tygodniu oglądał „Mazurkę”. Za każdym razem płakał ze wzruszenia. „Poczciwy, dobry Führer”.

Świat aktorski żył w Niemczech na wysokiej stopie, nie mniej zawsze pod cieniem katowskiego topora. Pola była nietykalna. Dr Goebbels nienawidził jej śmiertelnie i omijał z daleka. Naturalnie

ten przedziwny przywilej nie uszedł uwadze prasy zagranicznej. – Pola Negri żyje w zbytku w siedzibie Hitlera w Berchtesgaden. Może sobie owinąć Wodza wokół małego palca – napisał wychodzący w Paryżu tygodnik „Pour Vous". Tygodnik niedwuznacznie sugerował związek seksualny z wszechwładnym Kanclerzem. Pola wytoczyła tygodnikowi proces i wygrała. Ślad jednak pozostał. Stygma kochanki Hitlera na długo przylgnęła do Negri. Po zajęciu Francji Pola uciekła do USA. Dr Goebbels miał „swoją godzinę". Z fałszywym współczuciem potępiał niewdzięczność aktorki.

W Stanach, Negri powszechnie uważano za kochankę Hitlera. Wytwórnie nie chciały o niej słyszeć. Śpiewała w nocnych drugorzędnych lokalach. Ona! Tak niedawno jeszcze uwielbiana gwiazda całego świata! Przerażająca musi być gorycz takiej porażki. Tylko raz w 1943 roku udało jej się dostać rolę w filmie „Hi Diddle Diddle". Mimo dość ciepłego przyjęcia dalsze propozycje nie nastąpiły. Publiczność nie mogła jej wybaczyć ani „wdowy" ani „Führera". Na następną propozycję Pola czekała 20 lat.

Po wojnie ściągnęła matkę do USA. Sprzedała willę we Francji. Jako tako łatała koniec z końcem. Z pomocą przyszedł jak zwykle traf! Poznała multimilionerkę Margaret West. Została jej damą do towarzystwa. „Krążyły pogłoski, że nie tylko". Po śmierci Margaret, Pola odziedziczyła cały jej majątek. W 1964 roku

zagrała ostatnią rolę w życiu, w filmie „The Moon-Spinners”. Film był całkowitą porażką. W 1973 roku Steven Spielberg zaproponował jej rolę w „Sugarland Express”. Odmówiła. – Zagrałam w 63 filmach. Wystarczy!

Pod koniec życia zamieszkała w uroczym teksańskim miasteczku San Antonio. Tu, w 1970 roku, dokończyła i opublikowała swe wspomnienia „Pamiętnik Gwiazdy”. Zmarła 1 sierpnia 1987 roku.

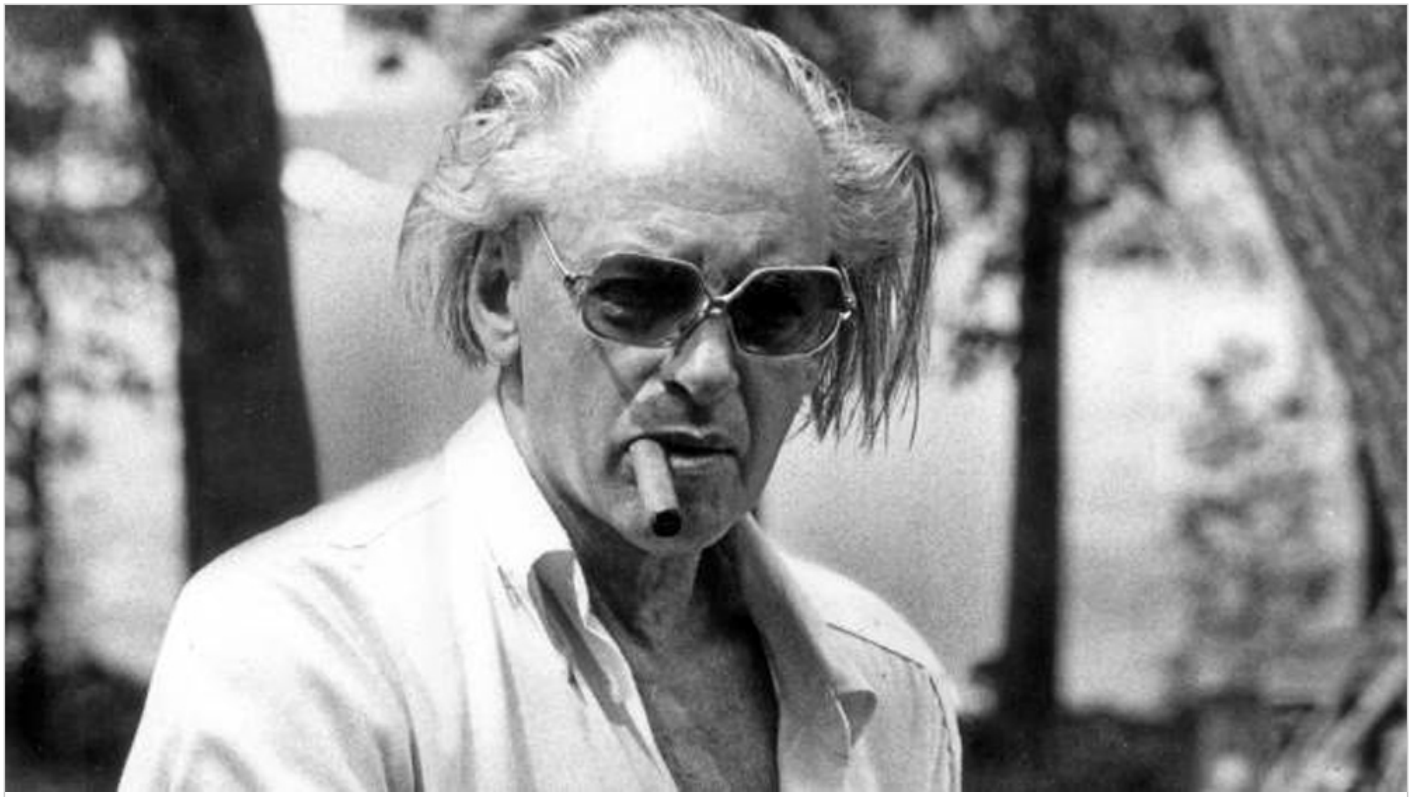


……

Bibliografl ia:

Konrad Zarębski: Z Lipna do Hollywood, Przemysław Gulda: Ameryka kochała Polę Negri, Interia Pl: Encyklopedia, Wiem Encyklopedia: Pola Negri, Kulturalna Warszawa: Pola Negri, Gazeta Pl – forum: Trupa werbalnych akrobatów, Pola Negri: Pamiętniki gwiazdy.
http://www.polanegri.com/

Mól w żelaznej kurtynie. Al Purdy (1918-2000).



Al Purdy

Florian Śmieja

Purdy jest wedle opinii wielu swoich ziomków ważną, a nawet centralną, postacią minionej fazy formowania się narodu kanadyjskiego oraz czołowym poetą tych doświadczeń, oryginalnym głosem kulturalnych, historycznych i politycznych aspiracji ludzi, którzy chcieli zbudować alternatywne społeczeństwo amerykańskie we współpracy Anglosasów i Francuzów, bardziej stabilne i praworządne od republiki południowego sąsiada.

Jego tomik wierszy "Moths in the Iron Curtain" (Toronto 1979) z podtytułem "Przygoda" nie należy do jego sztandarowych utworów, na co wskazuje choćby pominięcie go przez autora, kiedy układał "Poezje zebrane". Ale ten właśnie zbiorek ilustrowany fotografiami zrobionymi przez żonę, Eurithe, ofiarował mi z dedykacją rozciągniętą również na moją żonę i na młodszego syna, „piromana", kiedy przed laty wracając z Montrealu odwiedziłem go w jego słynnym domku w Ameliasburgu.

"Mole w Żelaznej Kurtynie" to poetyckie reminiscencje z podróży Ala z kanadyjskim poetą i przyjacielem, Ralphem Gustavsonem, wraz z żonami, na oficjalne zaproszenie do ówczesnego ZSSR. W ciągu trzech tygodni pod ścisłą opieką tłumacza i bacznych pilotów kanadyjska czwórka odwiedziła Rygę, Leningrad,

Moskwę, Kijów, Taszkent i Samarkandę. Dowcipny wstęp Ala nadaje również niefrasobliwy ton wierszom. I tak w jednym z nich Al biada nad niewielką ilością napisanych w czasie podróży wierszy i proponuje swojemu towarzyszowi Ralphowi zamianę: za jeden własny wiersz chce pięciu jego tekstów, by było po równo.

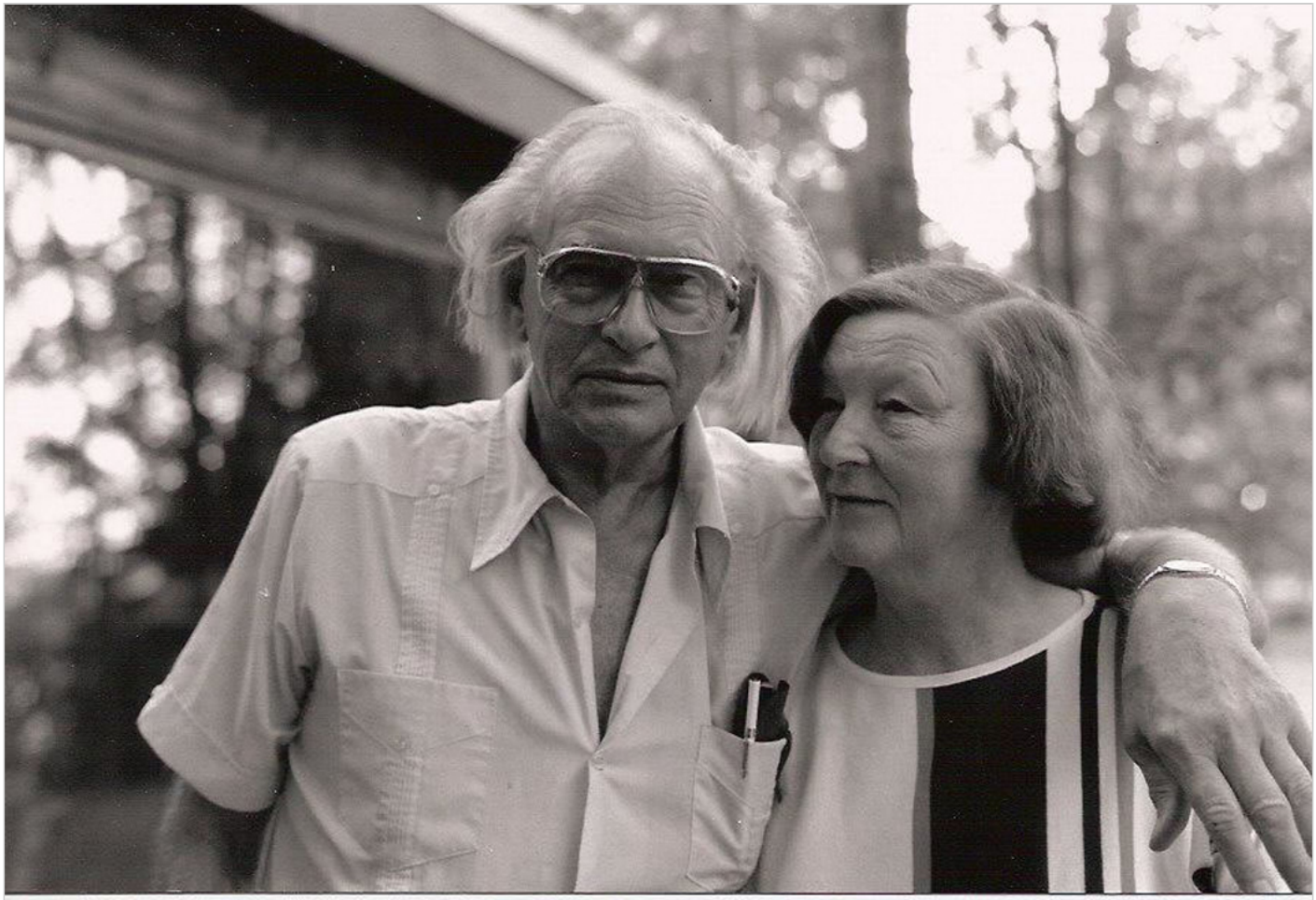
Nie stroniąc od mocnych trunków, którymi ich gospodarze raczyli, goście ograniczyli się do roli przychylnych obserwatorów respektujących zwyczaje i gusta innych. Nie umacniając Żelaznej Kurtyny, wielkiej krzywdy jej nie wyrządzili. Rzadka krytyka była okraszona humorem. Jako szermierz języka efektywnego Purdy przyrównał kwiecisty język gospodarzy do sytuacji, w której "sześć przymiotników kojarzy się z jednym biednym maleńkim męskim rzeczownikiem, co w każdym języku stanowi semantyczną poligamię".

Alfred Wellington Purdy urodził się w ubogiej rodzinie chłopskiej w Ontario. Opuścił szkołę, kiedy miał szesnaście lat i imał się różnych prac fizycznych jeżdżąc w czasach depresji pociągami towarowymi po całej Kanadzie. Był niezwyczajnym zjawiskiem potężnego mężczyzny piszącego od młodych lat wiersze. W 1944 roku za własne pieniądze w Vancouverze wydał debiutujący tomik. Nie był żadnym cudownym dzieckiem, ale samoukiem z wrodzoną skłonnością do poezji i chłopskim uporem. Zaczął od naśladowania tradycyjnych poetów produkując słabe, sztuczne utwory pisane w izolacji od współczesnej sceny kulturalnej. Dużo

czytał. Z czasem zaczął studiować i poważać rówieśnych poetów jak D.H. Lawrence czy później, Irving Layton, ale poznając nowe formy trzymał się z daleka od naśladownictwa. Wierzył w swoją niezależność, nie chciał cudzych wzorców. Samodzielnie pracował wytrwale nad formą wypowiedzi i językiem. Po latach nabrał pewności i świeżego przypływu energii.

W 1960 zbudował w Ameliasburgu domek, który miał stać się jego ostoją, często z niego wyjeżdżał, ale stale wracał. Mógł wtedy też porzucić dorywcze prace i poświęcić się pisaniu. Jego poezja reprezentowała już własny głos, pełna była wigoru i swobody, powstawała na dawnych nieudanych próbach mocna i przekonywująca. Poeta urobił sobie własną dykcję, jego wiersz stał się płynny i odkrywczy, zmieniał dynamikę i ton. Purdy stał się sobą, osiągnął pisarską dojrzałość. Jego wiersze posiadały moc, były szorstkie, agresywne, ale potrafiły również być delikatne. Buszował w języku odważnie znacząc oryginalną drogę. Wszystkie udane zdobycze warsztatu konsolidował, wydawał wiersze i poematy szeroko czytane, zauważane i nagradzane. W 1965 zdobył ważną nagrodę Gubernatora Kanady.

Ustaliła się też z czasem tematyka jego wierszy: Kanada, jej rozległe ziemie i ludzie, miejsca znane z dzieciństwa, ale także i wszechświat oraz podstawowe tematy jak miłość i śmierć.



Al Purdy z żoną Eurithe

Zaczęto Purdy’go uważać za modelowego poetę kanadyjskiego. Zjawił się nagle na scenie już jako ważny poeta, respekt budzący erudyta, samouk, niestrudzony wędrowiec ciekawy świata, człowiek aktywny. Przed sentymentalizmem i pretensjonalnością bronił się buńczuczną, zaczepną ironią. Wciągnęły go sprawy podstawowe i ostateczne. Zdaniem wielu krytyków, żaden inny poeta nie włożył tyle głęboko odczutej kanadyjskości do swoich wierszy. W jego świadomości tkwi zawsze ogrom kraju, a przy tym kruchość istoty ludzkiej na tle nieznanej i niezbadanej

prehistorii kontynentu. Poczucie przemijania łączy z koniecznością identyfikowania swojego otoczenia.

> Zawsze starałem się unikać
>
> rzeczy nieprzyjemnych
>
> niemiłych zapachów, śmierci, fizycznego bólu
>
> Nigdy mi się to nie udawało
>
> kwiaty śmierdzą, piękno gnije, bogowie umierają
>
> jak tylko uda nam się zagarnąć dla siebie
>
> jakiś słoneczny moment i utrzymać w myśli
>
> już się przemienia w potwora
>
> opisywanie tych wszystkich aspektów grozy
>
> nie jest uniwersalnym lekiem
>
> żadną pomocą w nazywaniu rzeczy

> pomimo to nazywam rzeczy po imieniu.

Ukochanie życia każe mu się zajmować najmniejszą formą bytu, którą celebruje:

> Odebrać godność jakiemukolwiek bądź żyjątku
>
> nawet kiedy nie potrafi zrozumieć obraźliwych słów
>
> to trywializować życie samo

Uczy, że przez sztukę człowiek unika zagłady, zniszczenia ciała i ducha. Na widok dawnej broszki napisze:

> Po 600 latach
>
> myśl z kości słoniowej
>
> jest jeszcze ciepła.

Kiedy przed laty Al przyjechał na jeden semestr w charakterze poety gościnnego na Uniwersytet Western Ontario (a byli tam wtedy tacy pisarze jak James Reaney i Michael Ondaatje),

chętnie i z wielkim respektem słuchaliśmy jego pełnego głosu wygłaszającego z radością wiersze, których wydał kilkadziesiąt tomów.

Pisanie dawało mu przyjemność, podróżowanie i wydawanie stały się pasją. Widział szmat świata, ale przede wszystkim poznał rozległe uroki Kanady, które smakował, szczególnie atrakcyjna była dla niego daleka Północ, której ludzie i ich styl życia mu imponowali. Zanotował:

> Nigdy nie byłem szczęśliwszy, niż kiedy leżąc w śpiworze na arktycznej wyspie wsłuchany w rozgardiasz kaczek na szczycie świata, pisałem wiersz.

Mimo dużego dorobku i wielkich sukcesów, pozostał skromnym człowiekiem:

> Jako pisarz czułem się zawsze wiecznym amatorem. Pisząc wiersze przez całe życie, nie mam nigdy pewności, że powstanie nowy wiersz, a potem okazuje się, że piszę nowy wcale nie wiedząc, jak to się stało…

Autentyczność tych słów mogę potwierdzić, gdyż czekając raz z

Alem pod bramą uniwersytetu na spóźniających się przyjaciół, stałem się posiadaczem rękopisu dotąd nie ogłoszonego wiersza na poczekaniu napisanego i wręczonego mi przez zniecierpliwionego zawieszeniem poetę.

Syberyjskim szlakiem Dargiewiczów. Część II.



Ferdynand Ruszczyc, Ziemia.

Romuald Mieczkowski

Życie w posiołku

– Żyliśmy pokutniczym życiem, tworząc jakby wyklęte pokolenie. Nikt się nie cieszył, nie śpiewaliśmy pieśni swoich, z rzadka ktoś zażartował, z rzadka gościł uśmiech na twarzach naszych. W

posiołku nie było wesel, nie rodziły się dzieci, bo ludzie nie chcieli przenosić swojego nieszczęścia na potomstwo. Kwintesencją naszego istnienia było przetrwanie. Przetrwanie razem, jeśli Bóg da, bez strat, jako rodzina – powraca do wspomnień Tadeusz Dargiewicz. – Najgorzej to było na święta, człowiek zupełnie wtedy miękł, kobiety, a i mężczyźni też, wszyscy ocierali łzy. Siostra przesyłała na Boże Narodzenie opłatek. Przed oczy powracały rodzinne, nierealne teraz widoki, wizerunki krewnych. Ale jakoś trzeba było żyć – poza pracą i umęczeniem siebie wspomnieniami. Jednak o rozrywkach nikt nie myślał, a do jedynego klubu w okolicy raczej nikt z zesłańców nie chodził. Zbierali się tam Rosjanie, niektórzy tu już urodzeni, i czuli się ze sobą zupełnie dobrze. Parę razy, jako ludzie młodzi, z ciekawości poszliśmy do klubu. Zapamiętały się mi czastuszki, które składali śpiewający o nas…

Spiecpieresieleńcy narzekali, że nie ma wśród nich księdza. Prosili nawet naczalstwo, żeby im księdza z okolicy przywieść, ale przedstawiciele władzy odpowiadali, że niejednego nie zostało… Po latach potem Tadeuszowi opowiadał ksiądz-zesłaniec spod Olsztyna, jak starali się duchowni ukryć swoje powołanie. Udawali robotników, podobno specjalnie rzucali niektórzy przekleństwami, by nie wyróżniać się spośród więźniów kryminalnych, z którymi też nierzadko przebywało się razem w niektórych posielenijach czy łagrach. Zresztą w obcowaniu z władzą w „dobrym tonie” były przekleństwa…

Z braku księdza, na początku wyręczała jedna starsza pani, która odprawiała nabożeństwa majowe i inne, ale po jej śmierci nie było następców. Matka Tadeusza zabrała ze sobą książkę do nabożeństwa, więc cała rodzina miała możliwość modlenia się. Interesował się tym pewien Rosjanin, którego przodków zesłano tu jeszcze za cara, prosił przetłumaczyć niektóre modlitwy na rosyjski.

Oczywiście, władza chciała czymś innym zastąpić wiarę. Ale sowieckie święta były obce, a i w czasie ich trwania zamiast wesołości była gorycz poniewierki. Parę razy przyjeżdżało kino, takie z przenośnego generatora. Zapamiętał się film pod tytułem „Titanick", trudno sobie wyobrazić, ale do takiej głuszy[27] dotarł również bestseller z tamtych czasów „Tarzan". Były próby założenia jakiegoś kółka, teatru amatorskiego, ale nic z tego nie wyszło.

Jeśli chodzi o „rozrywki", to w tych stronach można było jeszcze liczyć na książkę z biblioteki, ale oczywiście, po rosyjsku. O choć niektórzy szybko nauczyli się czytać w tym języku, to nawet lektury swego oprawcy były obce. Tak samo było z nauką, całe szczęście, że w rodzinie Dargiewiczów nie było kogoś w takim wieku, żeby obowiązkowo musiał pobierać nauki w sowieckiej szkole na Syberii. A te strony były dla ludzi silnych, i biada temu, kto zachorował. Z poważniejszymi przypadkami trzeba było chorego dostarczyć do miasteczka Podgornoje. Tam lekarz,

obsługujący spiecpieresielwńców, miał dużą butlę jakiegoś żółtego płynu, dawał pacjentowi pół szklaneczki tego płynu niezależnie od choroby – i już miało być dobrze! Hospitalizację stosowano przy bardzo rzadkich przypadkach. Dla chorowitych trudno było o jakieś ulgi, przede wszystkim o łatwiejszą pracę. Przez cały czas zabiegał o nią Adolf Dargiewicz, autor zdjęć syberyjskich, który słabego był zdrowia i często chorował. Ulgi, jakie udało się mu załatwić, polegały na tym, że zamiast wyrębu lasu, obsługiwał wagonik, który ciągnął motowóz, przewożący ludzi, opalał w nim burżujkę, smarował osie, żeby nie zapaliły się od ciężaru przewożonych kloców. Prawda, w wyniku przebywania w Podgorodnoje był ten plus, że mógł dokonać zakupów materiałów fotograficznych, dzięki którym zachował się dziś tak ważny przekaz z tamtych lat.

Dopiero w 1955 roku doprowadzono sieć radiową, zwaną tu toczką[28], a w Polsce potocznie „kołchoźnikiem". Był to głośnik z regulatorem, przez który można było słuchać jednej stacji. Czas był nowosybirski, a z głośnika Dargiewiczowie usłyszeli też i uświadomili sobie, jak rzeczywiście jest „sziroka strana, maja radnaja."[29] Tę sowiecką piosenkę nadawano każdego dnia. Jeden raz usłyszeli wypowiedź Cyrankiewicza, który mówił, że należałoby łączyć rodziny polskie, porozrzucane po świece, i wtedy pojawiła się iskierka nadziei o bardziej konkretnych kształtach – skoro ta wypowiedź dotarła aż na Syberię, coś w tym musiało być. Powrotem żyli przez cały czas. Tym bardziej, że o

ucieczce raczej nikt nie myślał. Człowiek zginąłby w tajdze, a o szukaniu pomocy w innych posiołkach nie było mowy. Jak też poruszać się bez dokumentów w większych miastach, które otaczały gęsto łagry? Latem byli odcięci wodą, zimą – śniegami i mrozem.

Prawda, jednej osobie udało się zbiec. Jak to nie dziwne, 14-letniemu chłopcu z rodziny Krasowskich, pochodzącej z Podbrzezia. Chłopiec szczęśliwie dotarł do Wilna. Tadeusz Dargiewicz po latach spotkał go jako dorosłego mężczyznę w Giżycku, gdzie Krasowski z rodziną potem zamieszkał. Gdyby wiedział, że zostaną zwolnieni, chyba nie podejmowałby tego ryzykownego przedsięwzięcia. Gdyby wszyscy wiedzieli, że pozostaną zwolnieni po kilku latach, inaczej patrzyliby na swój los, inaczej odbywaliby swą katorgę, a może i na miejscowym cmentarzyku byłoby mniej krzyży…

Ale któż to mógł przewidzieć?



Ferdynand Ruszczyc

Powrót

W 1956 roku w posiołku Lesnaja zaczęto mówić o powrotach. Po różnych perypetiach (Adolf ubiegał się nawet o wyjazd do Moskwy w tej sprawie, ale życzliwi odradzili – taki wyjazd mógł zaszkodzić) zapadła decyzja o zwolnieniu rodziny Dargiewiczów.

Mieszane mieli uczucia, bo przestawali już wierzyć w taką ewentualność. Po pięciu latach pobytu w Syberii pogodzili się w

pewnym stopniu z przeznaczeniem, ze słyszenia wiedzieli, że może być znacznie gorzej – mieli przecież chatę, krowę, wykarczowali sobie niewielką działkę, otaczali ich dobrzy sąsiedzi. Dargiewiczom poszczęściło się – wracali jako pierwsi.

Zazdroszczono im i cieszono się jednocześnie, bo skoro jedni wyjeżdżają, to i na innych przyjdzie kolej. Wśród miejscowych byli jednak tacy, którzy namawiali zostać, bo w Polsce jest… niepewnie! Władza znowuż, ale już w innym tonie, proponowała pozostać.

– Wyjeżdżając, chcieliśmy mieć jakieś dowody naszego „dobrowolnego" pobytu na Sybirze. Szczególnie uparł się nasz „inteligent" – Adolf – i zaczął kombinować, żeby nam dali jakąś bumagę[30]. Ale naczalstwo było nieugięte, miało swoje instrukcje i stanowczo odpowiadano: „Nie nado wam budiet."[31] Nasi sąsiedzi, ludzie różnych narodowości błagali: „Pamiętajcie o nas, pomóżcie i nas stąd wyciągnąć!" – wspomina Tadeusz.

Postanowili zebrać się jak najszybciej, broń Boże, żeby nie zmieniono decyzji. Kiedy wyjeżdżali, nie było mowy o powrotach Niemców, Ukraińców czy Litwinów. Sytuacja Polaków okazała się szczęśliwsza – o nich ktoś upominał się na szczeblu państwowym – choć kraj był zniewolony, to bezpośrednio nie wchodził do sowieckiego imperium.

Zebrali się więc bardzo szybko. Tak naprawdę, to nie było czego zabierać, prócz jedzenia na drogę. Choć może zabrali ze sobą za dużo ziemniaków, to potem przydały się w długiej podróży.

Odprowadzali Dargiewiczów wszyscy. Całym posiołkiem. Jakże wzruszające były pożegnania z towarzyszami niedoli! Wyznaczano sobie, przywołując najśmielsze marzenia, miejsce spotkań, obdarowywano pamiątkami. Taki prezent, w postaci zestawu – piła produkcji niemieckiej, młotek i siekierka – dostał i Tadeusz. Od Niemca, który jako płotnik uczył go tajników stolarstwa ze specjalnością wyrobu trumien. Zestaw ten dopiero niedawno zawieruszył się gdzieś w olsztyńskim garażu Tadeusza. Na drogę dostali też wódki, bo jakże bez niej przy takiej okazji! Kiedy odjeżdżali, u pozostałych szkliły się łzami oczy.

Saniami przebyli 50 kilometrów do miasteczka Podgornoje. Był jaszcze jeden współpasażer, który udawał się do miejscowego więzienia. Nawet komendant NKWD Błochin zmiękł i zaproponował, że za poduszki da konia zamiast powolnego wołu. Zgodzili się i kiedy dotarli na miejsce, czekał na nich kukuruźnik[32]. Razem wystartowała jeszcze jedna rodzina.

W Tomsku po raz pierwszy od lat poczuli się ludźmi. Nagła dobroć sowiecka sprawiła, że obdartusów odpowiednio „przyubrano”. Ojciec dostał kurtkę, brat też jakieś ubranie. Po raz pierwszy wyspali się po ludzku w normalnych łóżkach, dostali

posiłki, w mieście to nawet bez eskorty żołnierzy można było pójść na spacer…

Podróż do Polski trwała dwa tygodnie, jechali pociągiem osobowym, nawet z sypialnymi wygodami. Z Tomska z Polakami wyruszyły trzy wagony, po drodze doczepiano kolejne, w sumie około dziesięciu. Gdzieś w połowie drogi na wagonach wywieszono polskie sztandary. Dziwili się na stacjach ludzie, że Polska ma jeszcze swe barwy narodowe.

W wagonie konwojował – „dla porządku" – Dargiewiczów tylko jeden żołnierz. Owszem, bardzo grzeczny, wciąż pytał, czy czegoś nie potrzebują. „Niczewo nie nado nam, nie nado"[33] – odpowiadali pośpiesznie, obawiając się wciąż, że los może się odmienić, tym bardziej, że doszły słuchy, iż jedna rodzina została z sostawa[34] zdjęta. Może dlatego, że narzekali na swój los, powiedzieli za dużo? – zastanawiali się. Po drodze widzieli przecież niemało strasznych rzeczy. Na wszelki wypadek postanowili mówić jak najmniej i nie wyrażać żadnych odznak niezadowolenia i sprzeciwu.

W Polsce

Granicę przekroczyli w Terespolu. W ciągu tygodnia przebywali w punkcie rozdzielczym w Żurawicy. Niektórzy potrzebowali szpitala, byli wygłodzeni. Sybiraków traktowano bardzo

serdecznie, z wyrozumiałością. Ale trzeba było gdzieś się zakotwiczyć. Dargiewiczowie wyruszyli do Olsztyna, gdzie był już jeden z braci. Niestety, po tylu przeżyciach i stratach, na jakiś kąt własny nie można było liczyć. Święta Bożego Narodzenia Anno Domini 1956 witali na wolności, u brata, który ich przygarnął. Każdy dostał po tysiąc złotych zapomogi, i to było wszystko. Choć mieli tzw. Kartę, w której zapisano, żeby pomagać przybyłym, to władze podchodziły do tych z Sybiru najczęściej z rezerwą. Zaczynali więc od zera znowu, musieli mieszkać kątem u krewnych i znajomych, szukać pracy. Ale było to jednak życie na wolności.

Zaczęli powracać i inni. Po roku wrócił kolega Tadeusza Pałabis i również zamieszkał w Olsztynie. Powroty kolejnych rodzin były utrudnione: o ile Dargiewiczowie wracali na koszt państwa, to już po nich trzeba było zarobić na opłacenie podróży. A to nie taka łatwa była sprawa w tamtych warunkach, więc dorabiali, jak tylko mogli, wymagało to często nieludzkiego wysiłku.

Różnie ułożyły się losy ich sąsiadów i znajomych z zesłania. Tacy Woronkowie, na przykład, przez lata czekali, że dzieci ich zabiorą. Tak i nie doczekali się.

Los Mieczysława

– Dzięki Bogu, mnie los oszczędził. Choć nigdy nie byłem atletą,

to zdrowie dopisywało, podobnie innym braciom. Ale nie wszystkim. Jak już opowiadałem – wyjaśnia Tadeusz, – brata Bronisława zastrzelił policjant. Najwięcej dostawało się Mieczysławowi – choć dobrze był zbudowany, wysoki. Niemcy go aresztowali w czasie wojny i chcieli wywieźć, czekali na decyzję w Rudominie. Ale jakoś udało się rodzicom temu zapobiec. Mieczysław był bardzo pracowity, prawdziwy gospodarz. Z drugiej strony – niezwykle wrażliwy. Kiedy przyjechali zabrać ostatnią krowę, tak bardzo się przejął, nie oddawał, więc enkawudziści starali się „zastraszyć" go, strzelali w jego stronę, a potem związali powrozem ręce. Kiedy zbliżały się wywózki, uciekał. Dostał silnej nerwicy, nie było żadnej możliwości leczenia. W tym czasie ktoś spalił kołchozową stodołę w Rybniszkach, gdzie były zmagazynowane narzędzia rolnicze, zabrane u miejscowej ludności. Na to Mieczysław ucieszył się i powiedział: „Czyżby przychodzi koniec na bandytów?" Coś w nim pękło, zabarykadował się w dużym domu w Baraszkach, przychodził tylko na wspólne posiłki, sposępniał. Kiedy nas w 1951 roku zabierano, stał się agresywny, mógł nawet schwycić za siekierkę… Więc sprowadzono większą siłę, Mieczysław zaczął uciekać, prawdopodobnie do siostry Anastazji, która była mężatką i mieszkała w Solecznikach. Dogonili go akurat naprzeciwko domu pana Konopnickiego i tak zbili, że już nigdy nie odzyskał świadomości. Nawet na Sybir go nie zabrali, bo i komu taki był potrzebny? 40 lat przebywał w szpitalu dla umysłowo chorych w Nowej Wilejce. Po latach nie poznawał

nikogo, nie mówił nic, gdy go odwiedzaliśmy, nawet nie brał od nas jedzenia. Zmarł samotnie w jakimś miasteczku na północnej Litwie. Nie zostaliśmy nawet powiadomieni o jego śmierci, dowiedzieliśmy się o tym dopiero w grudniu 1994 roku. Kiedyśmy napisali list do litewskiego ministerstwa, nie żył od ośmiu miesięcy. Po naradzie z bliskimi postanowiliśmy go godnie pochować i przewieźliśmy jego prochy na cmentarz na Rossie. Spoczął obok brata Bronisława – kończy gorzką opowieść Tadeusz.

Zapamiętał go jako przystojnego mężczyznę. W 1951 roku Mieczysław miał 20 lat, po małżeństwie marzył o dużej, zasobnej gospodarce.

Los najbliższych

Rodzice Tadeusza Dargiewicza zmarli w Polsce, dożywając sędziwego wieku. Zmarł też w Gdańsku brat Tadeusza Franciszek. Adolf, „fotograf sybirski" i człowiek o zacięciu artystycznym, mieszka w Białymstoku, Wilhelm – żołnierz AK, uniknął Syberii i w 1945 przyjechał do Olsztyna, siostra Maria dostała się do Polski również w 1945 i osiadła w Gorzowie Wielkopolskim. Inna siostra – Anastazja Zieniewicz, już w czasie wojny była mężatką i to ją uratowało od wywózki. Dziś mieszka w Wilnie.

I wreszcie Tadeusz, którego opowieść w dużym skrócie próbuję utrwalić. Chciał zawsze się uczyć, ale nie sądzone mu było. Pracował jako robotnik, ślusarz, konserwator maszyn krawieckich. Nie narzeka, jest pogodnego usposobienia, bez emocji opowiada, że przez długie lata nikogo nie obchodziły ich syberyjskie losy, władza udawała, że tej tragedii nie było. Ożywia się, kiedy mówimy o działalności Związku Sybiraków, którego jest członkiem. Tak, spotykają się często. Uczestniczą w nabożeństwach, coraz częściej w pogrzebach, biorą w nich udział księża-katorżnicy. Ulgi? Drobne są. Nie płaci za telewizor, radio. Są pewne zniżki kombatanckie.

Tadeusz często myśli o Wileńszczyźnie, interesują go wieści z Litwy. Cieszy się, że jest ona wolna. To co było, nie wróci – powiada. Zresztą i z osady nic dziś nie pozostało. To miejsce porosło brzózkami. Nadzieja w przyszłości – uważa – w kontaktach nowego rodzaju między dziećmi wychodźców z Wileńszczyzny w Polsce a Polakami, którzy na niej pozostali.

Zafascynowana miastem nad Wilią jest jego córka Elżbieta, udzielająca się w Towarzystwie Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej. To dzięki niej poznałem swych krewnych. Ela posiada mnóstwo zdjęć z Wilna i okolic, zawsze przyjeżdża „głodna” wrażeń i wiedzy o tych stronach. Jest pedagogiem. Tytuł jej pracy magisterskiej, którą obroniła w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Olsztynie, brzmi: *Monografia polskiej szkoły*

średniej im. A. Mickiewicza w Wilnie. W tej szkole spędziła wiele czasu, chcąc poznać potrzeby i możliwości naszego szkolnictwa. Pragnie współpracy młodego pokolenia i częstszych kontaktów wzajemnych.

***

Przedstawiłem mały tylko wycinek życia Dargiewiczów w burzliwych i okrutnych czasach terroru. Zdaję sobie sprawę, jak niepełna jest ta opowieść. Bo i czyż można ogarnąć los ludzki w czasie krótkiego spotkania? Jako „kronikarz" tych ziem, będę chciał się przyczynić, aby ocalić od zapomnienia złożone i tragiczne losy ludzi wywodzących się z Wileńszczyzny – wszak nie ma rodziny, którą by oszczędziła gehenna wojny i późniejszych „porządków".

[1] *niekrasiwoj żenszczziny* – brzydkiej kobiety (ros.).

[2] *pogołowno* – dosłownie: co do głowy, wszystkich, co do jednego (ros.)

[3] *parsiuczek* – prosiak (gwara wil.).

[4] *spiecpieresieleniec* – przesiedleniec o charakterze specjalnym (ros.).

[5] *barża* – barka (ros.).

[6] ”Matko, u nas kula kosztuje cztery kopiejki, a ty i tak tutaj zdechniesz. Za darmo.” (ros.).

[7] *Niurskij Lesozagotowitielnyj Punkt* – Niurski Punkt Skupu Drewna (ros.).

[8] *uczastok* – dcinek (ros.)

[9] *posielenije* – osiedlenie, zesłanie (ros.).

[10] *nadziratiel* – dozorca, obozowy (ros.).

[11] *bumaga* – papier, dokument (potocznie, ros.).

Anatomia drzewa



The Gate, Land Art Festival, Poland, fot. Jowita Mormul.

Z rzeźbiarzem Ryszardem Litwiniukiem rozmawia Małgorzata P. Bonikowska.

Niezwykłe formy wykonane z drewna, ukazujące jego faktury, kształty – zapadające w pamięć, budzące refleksje. To rzeźby Ryszarda Litwiniuka, artysty, który przez lata tworzył w Kanadzie, kraju drzew i lasów, a od paru lat mieszka znowu w Polsce. Tam pracuje, wystawia i uczestniczy w wielu ciekawych projektach.

Małgorzata P. Bonikowska: Pracujesz w drewnie. Dlaczego –

co jest takiego w tym materiale?

Ryszard Litwiniuk: Drewno zawsze mnie fascynowało. Zawsze lubiłem jego zapach, strukturę, fakturę, miękkość. Rosnące drzewo jest pełne dumy i majestatu… Ścięte drzewo ma w sobie wiele pokory, dalej pozostając sobą – jest drzewem. Przez lata pracując z drzewem – lub drewnem, jak kto woli – wiele się nauczyłem i myślę, że ta osobista relacja, mój dialog z naturą daje mi większe i pełniejsze zrozumienie. Nie ścinam drzew. Pracuję w pniach odnalezionych lub mi ofiarowanych do projektu, instalacji, czy rzeźby. Staram się podchodzić do mojego drzewa, drewna, kawałka materiału z należytym szacunkiem, harmonią i zrozumieniem. W swoim procesie pracy staram się otwierać drzewo, zmienić je, przetransformować, przedłużyć jego egzystencję w innej, nowej formie… Mojej własnej. Świeżo ścięte pnie są dla mnie żywą tkanką, żywą materią, do której w danym momencie uzurpuje sobie prawo ingerencji. Z chirurgiczną precyzją, zrozumieniem i uwagą. Interesuje mnie jego struktura, masa, objętość – coś co nazywam "anatomią drzewa"… To jest to co odkrywam, eksploruję, co wykorzystuję i staram się pokazać. Pokazać to co niedostrzegalne, co jest w środku. Tego nie widać. Widzimy często tylko jego korę, skórę, zewnętrzną fakturę materii. Otwierając drzewo pokazuję coś co jest ukryte, niewidoczne, niewidzialne, często zapomniane, lekceważone, ignorowane…

M.P.B.: Twoje rzeźby są jakby częścią przyrody. Jak opisałbyś tę relację?

R.L.: Oczywiście, moje rzeźby są częścią przyrody. Nie mają wyjścia, po prostu są. Istnieją. Mają swój własny byt i tożsamość nie tylko z racji materiału jako części natury, ale z kontekstu miejsca, relacji przestrzennych, okoliczności powstania itp… Myślę, że te dwa aspekty – czasu i miejsca odgrywają dla mnie ważną rolę. Determinują cały proces – moje decyzje w trakcie pracy, obserwacje. Często też pomaga wiedza odnośnie tradycji, historii, kultury, archeologii, etc. Wiele z moich realizacji powstało w różnych zakątkach świata, kiedy to ja byłem jakby obcym i w kontekście tych relacji starałem się odnaleźć harmonię. Z jednej strony zawrzeć coś własnego, a z drugiej odkryć coś co będzie ponad czasem i miejscem… Jakiś pierwiastek uniwersalny, ważny dla mnie "tu i teraz".

M.P.B.: Od dłuższego czasu jesteś w Polsce. Co tam robisz artystycznie?

R.L.: Tak, jestem w Polsce. Wróciłem po latach z Kanady. Nie czuję się tu jako obcy, intruz, czy powrotny imigrant. Jedyna różnica, która wydaje mi się zasadnicza, to ta, że znowu mówię w swoim języku i wszystko co widzę jest bardziej swojskie, własne, moje. Nie mówię, że Kanada była mi obca językowo czy kulturowo. Była inna. Teraz od kilku lat staram się odnaleźć

swoje miejsce w kraju, z którego świadomie i z własnej woli wyjechałem. Pytasz mnie co tu robię artystycznie… Wiele rzeczy się wydarzyło. Obecnie przygotowuję moją jubileuszową retrospektywną wystawę w Galerii EL w Elblągu. Dwie inne wystawy, które miałem w planie wcześniej w Warszawie i Toruniu, z przyczyn organizacyjnych nie będą mogły się odbyć… Obecnie pracuję nad kilkoma innymi projektami, a z wcześniejszych wydarzeń i realizacji chciałbym wymienić projekt na Biennale w Luksemburgu, cztery projekty w Niemczech, następnie Bułgaria, Finlandia, Szwajcaria, oraz Polska – Kozłówka i Gdańsk. W tym roku, projekt w kamieniu na Cyprze oraz w Niemczech. W Polsce instalacja na 6. edycji Land Art Festival nad Bugiem, oraz udział w Międzynarodowej Wystawie Sztuki Ziemi w Kunsthalle- Mucsarnok w Budapeszcie (www.mucsarnok.hu / www.kunsthalle.hu). Dołączam moje podziękowanie dla kuratora Johna K. Grande'a za zaproszenie do tego projektu. Z wydarzeń konkursowych, o których chciałbym jeszcze wspomnieć, to pierwsza nagroda w Ogólnopolskim Konkursie Rzeźby rozpisanym przez miesięcznik dla profesjonalistów "Drwal" – dla artystów rzeźbiarzy pracujących piłą łańcuchową, oraz druga nagroda w Konkursie Konfrontacje Sztuki w Warszawie prowadzonym przez Galerie Test, oraz Mazowiecki Instytut Kultury. W tym konkursie otrzymałem nagrodę specjalną przyznawaną i fundowaną przez Rektora Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie.



The Gate, Land Art Festival, Poland, fot. Jowita Mormul.

M.P.B.: Ostatnio uczestniczyłeś w ciekawym artystycznym projekcie Land Art Festival. Na czym on polegał?

R.L.: Było to długo wyczekiwane, oczekiwane moje przebywanie na tych terenach… Od kilku lat nie udawało mi się tam być i czynnie uczestniczyć w poprzednich edycjach Land Art Festival z różnych przyczyn. W tym roku udało się zgrać terminy i przyjechałem tam z dwudniowym spóźnieniem, bezpośrednio z

naszej zachodniej granicy nad Odrą, gdzie realizowałem mój projekt “The Bridge” w Hoyerswerda w Niemczech. Nastąpiło tu fantastyczne sprzężenie czasowomiejscowe – dwie rzeki, dwie granice, na zachodzie i na wschodzie w tym samym czasie, w tym samym roku praktycznie z marszu… Wróciłem w rodzinne strony mojego Taty, który urodził się w tych stronach w okolicach Białej Podlaskiej, skąd pochodzi moja rodzina i gdzie jeszcze do dziś mieszka sporo Litwiniuków. Na 6. edycji Land Art Festival na przełomie Bugu w przepięknym dziewiczym terenie Janowa Podlaskiego i Bubla miałem okazję zrealizować mój projekt “The Gate” bezpośrednio na współczesnej wschodniej granicy – na Bugu. Był to dla mnie wyjątkowy powrót do korzeni, do rodzinnych stron, do miejsca gdzie rzeka płynie od wieków, a granica wytworzona współcześnie dzieli kraje, terytoria, krajobrazy. W moim przypadku było to o tyle istotne, że w miejscu, które wybrałem do pracy i instalacji mojego projektu, stoi słup graniczny – 217. Jest on częścią krajobrazu, jest też również częścią widokową mojego projektu. Oba te elementy istnieją w tej samej przestrzeni, a po drugiej stronie Bugu w prostej linii patrząc przez moje Wrota, widać graniczny słup białoruski… Na osi wschód-zachód tworzy się prosta linia z moimi otwartymi pośrodku wrotami – The Gate – zapraszające, witające, otwarte. Pierwszy projekt na zachodniej granicy realizowany był pod hasłem “Integration”, a drugi, na wschodzie, pod hasłem “Home”… Chciałbym podziękować organizatorom tych artystycznych wydarzeń – zarówno miastu Hoyerswerda w

Niemczech, jak również Fundacji Latająca Ryba w Polsce za możliwość realizacji moich instalacji bez granic… (www.landart.lubelskie.pl– Fundacja Latająca Ryba)

M.P.B.: Co ciekawego dzieje się w sztuce w Polsce? Czy wiele się zmieniło od czasu, kiedy tam żyłeś na stałe?

R.L.: Na to pytanie trudno jest jednoznacznie odpowiedzieć… Wiele się dzieje – wiele zmian w administracji, galeriach, tworzą się nowe miejsca, nowe pokolenia aktywnych artystów, marszandów, kolekcjonerów. Bardzo popularne są aukcje dzieł sztuki organizowane przez domy aukcyjne oraz prywatne galerie. Odchodzą dawni mistrzowie, tacy jak Jurek Kołacz, Mitoraj, Fangor, a ostatnio Geno Malkowski… Jak w każdym kraju, w każdym miejscu na świecie, następują zmiany. Pojawiają się nowe wydarzenia, nowe zjawiska, nowe elementy artystycznego krajobrazu…

M.P.B.: W którym kraju czujesz się lepiej jako artysta? Chodzi mi o to, gdzie jest lepiej artystom, gdzie jest większe wsparcie, lepsza społeczność do współdziałania itp.

R.L.: Myślę, że każdy może czuć się dobrze tam, gdzie może wykonywać swoją pracę.

M. P.B.: Czy zostajesz na zawsze w Polsce?

R.L.: Na to pytanie wolałbym nie odpowiadać bezpośrednio i kierunkowo, w myśl starego dobrego powiedzenia – "Every place is a good place to live"… Znając swój charakter wagabundy oraz moje podróżnicze pasje – mogę tylko powiedzieć, że nic nigdy nie wiadomo… Realizuję swój program "Open Concept Project" i wszystko jest otwarte. Nigdy nie wiadomo co przyniesie kolejny dzień. Najważniejsze jest Tu i Teraz…

Ryszard Litwiniuk – urodzony w Olsztynie w 1966 roku, w 1992 roku ukończył Akademię Sztuk Pięknych w Gdańsku (dyplom w pracowni prof. Edwarda Sitka). W 1994 roku otrzymał prestiżowe stypendium: "Grant of the Pollock- Krasner Foundation Inc., New York, USA". Wielokrotnie nagradzany za swoją twórczość artystyczną. Ma na swoim koncie dziesiątki wystaw indywidualnych i zbiorowych.

Wywiad ukazał się w „Gazecie" w Toronto, w październiku 2016 r.: http://www.gazetagazeta.com/-2016/10/anatomia-drzewa/

Linki:

www.RyszardLitwinuik.blogspot.com
www.nonviolence2.blogspot.com

www.artinnatureresidency.blogspot. com
www.landart.lubelskie.pl/landart_gallery/the-gate-2/

Galeria

Rzeźby Ryszarda Litwiniuka w skali micro



